MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 23. WARSZAWA, 8 CZERWCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

POEZJA KOCHANOWSKIEGO

KOCHANOWSKI nie należy do postaci łatwych do określenia. Dzieł wielkich, syntetycznych niema w jego spuściźnie literackiej. Trudno go zestawiać z czołowymi twórcami XVI wieku: Ariostem, Tassem, Cervantesem. A przecież jest w nim coś, co go obok bardzo wielkich postaci postawić pozwala. Ażeby go ocenić, trzeba z pod rozważania usunąć rysy przygodne. Pomijamy wielki przywilej jego postaci dziejowej, że był przełomowym artystą, torującym drogę nowej literaturze, której przed nim nie było; dalej, że był doskonałym wyobrazicielem zachodniej ogłady na granicy wschodu i mało oświeconej północy. To są rysy okolicznościowe, historyczne, miejscowe jego osobistości, które wcale nie orzekają o zawartości i cechach jego poezji.

Ażeby wiedzieć, kim był Kochanowski, należy uważnie przeglądnąć jego pisma. We „Fraszkach" widzimy go jako bystrego spostrzegacza, wesołego i dobrotliwego krytyka wad i niedostatków otoczenia. Jest to zbiór epigramatów, typowy dla jego czasów, świadectwo rozlewnego życia czasów Odrodzenia, kiedy ludzie po raz pierwszy zaczęli używać radości życia, bawić się i cieszyć, jak w czasach średniowiecznych nie umiano. Od wesołości przelewa się we „Fraszkach". Humoru w nich tyle, że dziś jeszcze bawią i rozśmieszają. Przytem forma tych utworów jest doskonała, zwartość i trafność wyrażenia zupełnie niezwykła. Choć to zbiór drobiazgów, objawia w nich Kochanowski wyborne opanowanie jednego z zachodnich rodzajów literackich. Poeta przenikliwem okiem patrzy na otoczenie i stwarza uroczą pamiątkę życia dworskiego za czasów Zygmunta Augusta. W literaturze klasycznej zbiory podobnych epigramatów są wielce cenione i nadają autorom prawo do zajęcia dosyć wybitnego miejsca w poczcie pisarzów.

Potem mamy z pod jego pióra „Pieśni", pierwsze pieśni świeckie w języku polskim, złożone przeważnie z parafraz horacjańskich. Tu już występuje Kochanowski jako znawca natury ludzkiej i potrzeb człowieka. Staje się prawodawcą moralnym szlachty i śladem Reja obmyśla topiczne zdania moralne, przydatne w życiu osobistem jako wskazówki postępowania. Rozmaitości niema w tym zbiorku zbyt wiele, ale tkwi w nim prawda życiowa i mądrość skupiona, z której każdy rad czerpie. Kochanowski rozumiał człowieka i ziemian nie myślał rozmarzać, ale ich uczyć. Zabawne jest, że z Horacego chciał zrobić moralistę warstwy szlacheckiej, co mu się jednak doskonale udało Zdania w „Pieśniach" wygłoszone, stały się naszemi przysłowiami narodowemi. Pomijamy inne utwory w tym zbiorku, jako to: pieśni patrjotyczne, czasem potężne, będące wyrazem chwili, jak niemniej kilka erotyków, które można uważać za świadectwa kształtowania się uczuciowości w warstwie ziemiańskiej. Główną jego zawartość stanowią parafrazy horacjańskie, z licznemi sentencjami pouczającemi. Kochanowski przenikał umysłowość rolników i wiedział, jak do nich przemawiać. Oba jego zbiorki dowodzą, że żywo odczuwał puls życia swego czasu i umiał swe wrażenia w pięknej formie wyrazić.

Poza zwierciadłem życia dworskiego we „Fraszkach" i utworzeniem kodeksu moralnego dla ziemian w „Pieśniach", Kochanowski udarował nas jeszcze „Pieśnią świętojańską o Sobótce", która stanowi miłe wspomnienie, jak się umiał bawić w Czarnolesie. Na tle wiejskiego obchodu, obmyślał balet dla zabawy żony i wplótł w niego

jedną z najpiękniejszych, a zupełnie oryginalną pieśń, na pochwałę wsi polskiej: „Wsi spokojna, wsi wesoła". Choć zwyczajami ludowemi szczegółowo się nie zajmował, miał myśl szczęśliwą, żeby wskazać szlachcie sposób urządzania szlachetnych zabaw towarzyskich, opartych o zwyczaje otaczającego nas ludu. Zbliżał tym sposobem ziemian do ludu i uczył uszanowania dla niego, budząc w społeczeństwie XVI w. idee, które dopiero następne czasy miały zrozumieć.

A wreszcie mamy „Treny", w których Kochanowski na wieki upamiętnił, jak cenił życie rodzinne i kochał swą rodzinę. Poprzednie zbiorki i cykle nie stanowią wyjątku w dziejach literatury powszechnej. Epigramatystów i pieśniarzy podobnej miary jak Kochanowski możnaby sporo wskazać zagranicą. Tu zaś mamy coś wyjątkowego. Dziełem tem Kochanowski sam siebie przewyższył i stanął w rzędzie najlepszych wyobrazicieli uczuciowości ludzkiej, jak Mickiewicz w „Dziadach Kowieńskich". Sam powiada:

Żaden ociec podobno barziey nie miłował
Dziecięcia, żaden barziey nad mię nie żałował.

Jest to wspaniała pamiątka polskiego życia rodzinnego, zawierająca niezmiernie pociągający portret dziecka, skąpany w morzu uczucia i łez, dzieło literackie, wznoszące się ponad wszelką pochwałę i ocenę.

Kochanowski, jak widzimy, dał się poznać przedewszystkiem jako liryk. W uzupełnieniu jego zasług w tej dziedzinie trzeba wspomnieć o tłumaczeniu „Psałterza", przy pomocy którego ujął w pewne prawidła i uporządkował polski język poetycki i metrykę polską. W rozważaniu tego pomnika dla naszych celów, musimy pominąć trafność i wartość przekładu, która objaśnia raczej jego umysłowość, niż upodobania własne. Także doniosłość religijna tego dzieła należy raczej do historji, niż jego charakterystyki osobistej.

Kochanowski pozostawił świadectwa swej działalności także w kilku innych rodzajach literatury. Utworzył, a po części przyswoił naszej literaturze dwa wcale zajmujące poematy dydaktyczne: „Szachy", które Mickiewicz naśladował w „Warcabach", i „Fenomena" Araba, któremi współcześnie zajmowała się żywo plejada francuska. W utworach tych podziwiać możemy sprawność poety w posługiwaniu się terminologją zawodową.

Przedewszystkiem zaś w przeglądzie innych rodzajów literackich, któremi Kochanowski się zajmował, wypada wymienić „Odprawę posłów greckich", nadzwyczaj udatną próbę dramatyczną, z chórem niewypowiedzianej piękności „O białoskrzydła morska pławaczko". Dzieło to wynikło z bezmiernego uwielbienia poety dla Homera, Eurypidesa i wogóle całej literatury greckiej. Stoi ono osamotnione w staropolskiej literaturze, jakby zapowiedź „Agesilausa" Słowackiego i „Achilleidy" i „Powrotu Odyssa" Wyspiańskiego. Mówi ono znów raczej o jego upodobaniach literackich, niż o życiu osobistem i górujących cechach jego psychy twórczej.

Chcąc teraz uchwycić właściwe rysy poezji Kochanowskiego, musimy odwrócić uwagę od dzieł przygodnych i niejako odosobnionych w jego działalności literackiej i śledzić wyłącznie główny prąd twórczości, głównie podmiotowej. I tu spostrzegamy, że Kochanowski znał doskonale siebie, miał żywe poczucie skłonności ludzkich w sobie, bystro odczuwał naturę innych, tworzył swobodnie z pobudek, które mu życie nastręczało, wiedziony uniesieniem twórczej duszy, i chcąc się niejako wypowiedzieć i ująć w pięknej formie doznawane wrażenia. Potrafił on wszędzie swoją ludzką naturę zaznaczyć, jako dworzanin, obywatel, małżonek i ojciec. Był silnym indywidualistą i zawsze sobę. Jest coś szekspirowskiego w jego spojrzeniu na świat.

A potem wszystko, co tworzy, tworzy z własnego natchnienia, bez obcego nacisku, którego znieść nie potrafi. Jest on zapamiętałym wyznawcą myśli artystycznej niepodległej, żadnemi dogmatami nieskrępowanej. Można w nim odkryć pewne powinowactwo duchowe z Arjanami, z budzącą się niezależną krytyką nowoczesną, coby Kartezjusz wybornie zrozumiał. W pismach swych jest pełen naturalności, wieje z nich czar bezpośredniej i omal nie naiwnej natury ludzkiej, którą tylko górne i idealistyczne umysły odczuć potrafią. Poezja jego przemawia do przekonania i porywa, bo na nieprzemijających pierwiastkach życia się wspiera. Zawsze człowiek będzie dążył do uwydatnienia swych ludzkich właściwości, zawsze będzie pragnął dojść do pełnej samowiedzy swych ziemskich skłonności, a równocześnie będzie usiłował być od nikogo niezależnym, gościć na szczytach i sięgać nieskończoności. A poezja Kochanowskiego jest uwita właśnie z tych głębokich pragnień i pożądań ludzkich. Zaznaczyć jednak należy, że mimo dążenia do bezwzględnej niepodległości umysłowej, Kochanowski nie jest wcale zwolennikiem bezrządu. Owszem, jak w sztuce prawo uznawał i prawideł surowo przestrzegał, tak w zakresie społecznym zawsze oświadcza się za ładem i porządkiem, jest nieugiętym i ofiarnym patrjotą i w tym kierunku przez całe życie wydatnie działa.

A teraz zapytajmy, czy Kochanowski był typowym poetą polskim? Że był wielkim poetą polskim, to nie ulega wątpliwości, skoro poezję polską utworzył. Może nawet nikt od niego większym nie był, skoro mu pierwszeństwa odebrać nie może. Ale czy był typowym poetą polskim, to znaczy, czy uwydatnił w swej poezji te właściwości, które zwykliśmy uważać za najbardziej polskie? Otóż nie. Choć był religijny i utworzył wspaniały hymn: „Czego chcesz od nas Panie?", w twórczości

jego niema zabarwienia wyznaniowego. Czytając jego pisma, nie można się dowiedzieć, czy był wierzącym i gorącym katolikiem. Nie znajdujemy u niego ani jednej pieśni maryjskiej, wielkanocnej, na post, na adwent, o świętych pańskich, nic coby nam przypominało Kochowskiego, Karpińskiego, Zaleskiego, Krasińskiego.

Następnie, choć należał do narodu rycerskiego i początkowo myślał zostać żołnierzem, niema również w jego poezji nuty rycerskiej, podziwu dla spraw wojennych, nic coby go pozwalało uznać za poprzednika duchowego i antenata takiego Godebskiego, Pola, Romanowskiego. Wielkich wodzów i hetmanów współczesnych chwali, ale raczej jako obrońców państwa, niż wielkich rycerzy. Nie można u niego zauważyć, aby się oddawał z upodobaniem opisom bitew, wynoszeniu czynów wojskowych, mocy, męstwa, wytrwałości. Nawet miał chwile w życiu, w których występował raczej jak antymilitarysta i pacyfista.

A więc kim właściwie był Kochanowski? Był poetą czysto świeckim, wśród największej zamieszki religijnej; czysto ludzkim, pozbawionym zdaje się przesądów stanowych; był, krótko mówiąc, humanistą. Studja klasyczne i humanizm zrobiły go poetą życia osobistego i szlacheckiego, artystą myślącym o pięknie i tworzącym piękne rzeczy. Gdy przestaniemy do niego przykładać miarę z zagranicznych poetów wziętą, to spostrzeżemy wreszcie, że jest jednym z najświetniejszych przedstawicieli ogólnoludzkiej, humanistycznej poezji, w dobie jej unarodawiania się w Europie. I to jest jego cecha i znaczenie w gronie poetów świata zachodniego.

STANISŁAW WINDAKIEWICZ

CENTRUM POLSZCZYZNY

...Chcąc zmyć się z niemczyzny
Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny,
Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!

UNIWERSALIZM i indywidualizm w swych skrajnych przejawach i jednocześnie w samej istocie każdego z nich, mają jedną, bardzo zasadniczą cechę wspólną. Oto obydwa te stanowiska twórcze wyrastają z podłoża racjonalizmu oraz irrealizmu, żywiąc się fikcją bytu pozadziejowego, oderwanego od naturalnego środowiska, mieszczącego się w określonym czasie i przestrzeni. Tylko przez zgwałcenie przyrodzonych warunków rozwoju jednostki może się rozwinąć egzotyczny kwiat, czy to skrajnego uniwersalizmu (np. w klasztornej mistyce średniowiecznej), czyli też indywidualizmu (np. w romantyzmie). Odwrotnie, normalna i zdrowa twórczość artystyczna czy naukowa, w myśl definicji Arystotelesa o *zoón politikón*, czerpie swe soki z podłoża, z którego wyrasta i tem bujniej się rozwija, im ściślej jest z niem złączona. Dlatego to w w. XIX poezja nasza dopiero wtedy stała się prawdziwie wielka, kiedy hasło „Ja i ojczyzna to jedno“, przestano ujmować w kształcie egzotyczno-romantycznym („Co ja pragnę, niech wnet zgadną, spełnią“), natomiast zaczęto je przekładać na język konkretnej narodowej rzeczywistości:

„Ojczyzny nieśmiertelnej serce wielkie niech słyszę ciągle w sobie bijące, a na wielką się ciszę przygotuję, że żadnych stąd oklasków nie będzie“,

jak mówi Słowacki, albo też jak mu wtóruje Norwid:

„Ja chciałem przez serce narodu przewiać jak pieśń, jak akord harmonji, a imię na rymów rym, na koniec zostanie rapsodu“.

Bo, wbrew pozorom, wbrew fałszywym teorjom o jakiejś absolutnie samorodnej oryginalności, której nigdy nie było, prawdziwy twórca winien być wiernym wyobrazicielem zbiorowego charakteru narodu, sumiennym i zamiłowanym interpretatorem jego treści duchowej, musi tkwić głęboko w jego łonie i czuć się narodu dzieckiem nieodrodnem.

Największy nasz poeta przed romantyzmem, Jan Kochanowski, wyrażał — może niezupełnie świadomie — takie właśnie ustosunkowanie się do aktualnej rzeczywistości swego narodu, i w tej to okoliczności tkwi przedewszystkiem ta jego — względna zresztą — wielkość. To zsolidaryzowanie się z duszą narodową, stanięcie w samem centrum swej społeczności, przyszły Kochanowskiemu nader łatwo. Całe jego życie upłynęło w warunkach politycznie i społecznie pomyślnych, to też współdźwięczność jego psychiki z własną dobą dziejową była zarówno daleka od oportunizmu pisarzy wieku XVII, np. Opalińskiego czy S. H. Lubomirskiego, jak też wolna od owych zwątpień i pokus, które zmuszeni byli przezwyciężać poeci Stanisławowscy czy też romantycy. Jakkolwiek bowiem spędza on lat kilka na obczyźnie, we Włoszech i Francji, oraz dwakroć zawadza o Królewiec, to jednak ze środowisk obcych wywozi tylko ogólną humanistyczną kulturę, która nie tłumi w nim bynajmniej polskości; jakkolwiek ociera się o prądy reformacyjne, to jednak pozostaje zdecydowanym katolikiem. Nakoniec chociaż poznaje zbliska życie dworskie i przez czas pewien nosi się z zamiarem poświęcenia się stanowi duchownemu, to jednak ostatecznie osiada na wsi, zakłada rodzinę i pędzi żywot przeciętnego szlachcica-ziemianina.

Ta „przeciętność“ pojęć i wyobrażeń Kochanowskiego, czyniąca go tak podobnym do Sienkiewicza z jednej, zaś do Kasprowicza z drugiej strony, płynęła i u niego również z tego samego źródła, co u tamtych, to znaczy z ziemi, której wszyscy oni byli tak bliscy, zarówno w materjalnem, jak i duchowem znaczeniu tego słowa. Pozatem jednak dostrzegamy u tych trzech naszych pisarzy zasadnicze różnice, gdy chcemy wyśledzić dalsze źródła tej wrodzonej im wszystkim „przeciętności“, czy też owej rdzennej, głębokiej polskości. Oto bowiem epicko-doskonała „przeciętność“ Sienkiewicza czerpała swą moc z historji, która w oczach jego zacierała kontury współczesnej mu polskiej rzeczywistości, zaś równowaga życiowa Kasprowicza i jego odporność na rozkładowe tendencje współczesności opierały się o atawistyczne skłonności chłopa, bytującego od wieków w tradycyjnym kręgu wyobrażeń. U Kochanowskiego natomiast źródłem i przyczyną tej „przeciętności“ i równowagi było, powtarzam, poza ziemią, zdrowe i normalne życie

publiczne, stosunkowo wolne od wstrząśnień politycznych, społecznych i umysłowych, no i wreszcie wyraźnie przemawiający genjusz narodu, niezaburzony jeszcze wtedy „błędów przypomnieniem, niepodkopany nadziei złudzeniem, ani zmieniony wypadków strumieniem". A właśnie nieświadome poddanie się Kochanowskiego temu genjuszowi narodu stawia jego twórczość w samem centrum polszczyzny, z jej cnotami i wadami zresztą, i czyni go najbardziej polskim ze wszystkich polskich pisarzy.

Wpływy natury intelektualnej i duchowej, które zwykle kształtują psychikę i twórczość poety, były u Kochanowskiego tylko potwierdzeniem tego życiowego instynktu, który mu nakazywał trzymać się polskiej rzeczywistości. Pośród tych wpływów zaś trzeba na pierwszem miejscu postawić religijność, zaszczepioną w duszy poety za dziecięcych jeszcze lat pieczołowitą ręką matki, której za to bodaj w największej mierze postawiony został pomnik prawdziwie *aere perennius* w „Trenach". Religijność ta jednak narazie płynęła w duszy Kochanowskiego raczej nurtem ukrytym, to też przy analizie więcej drobiazgowej stopniowo narastającej twórczości poety, przed momentami natury religijnej bardziej zwracają naszą uwagę wpływy literatury klasycznej, w pierwszym zaś rzędzie poezji Horacego, którego Kochanowski uważał za ideał poety i najwięcej mu zawdzięczał. Wpływ Horacego na śpiewaka z Czarnolasu nie ogranicza się do przekładów, czy też przeróbek jego utworów, lecz przenika całą jego twórczość, przedewszystkiem zaś „Pieśni".

Ideały umiarkowania, równowagi, upodobania do zagadnień moralnych, umiłowanie wsi, oraz życia społecznego, średnio-dostatniego, zadowalającego się skromnemi wymaganiami, apoteoza wolności i niezależności, stronienie od polityki i innych trosk wielkiego świata — oto wspólne znamiona twórczości obu poetów. Możnaby łatwo ułożyć dwustronną antologijkę, którąby wykazała znamienne zbieżności tak umyślne, jako też przypadkowe Horacego i Kochanowskiego. Ograniczymy się jednak tu do garści przykładów z twórczości tego ostatniego.

Oto np. czytamy:

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta i wysokie grody.

To pan zdaniem moiem,
Kto przestał na swoiem...
Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości.

Niechaj drew do komina —
Na stół przyniosą wina...

Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego!

Ale tego rodzaju tony epikurejskie splatają się na lutni Kochanowskiego dość ściśle z pouczeniami stoickiemi w rodzaju znanego aforyzmu:

Cnota skarb wieczny, cnota klenot drogi,

albo też:

Stateczny umysł pamiętaj zachować,
Jeśli cię pocznie nieszczęście frasować.

Głośniej jednak nad inne brzmi pieśń, niosąca pochwałę wsi i mnogich radości gospodarza:

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?

W ścisłym związku z apoteozą wsi pozostają dość liczne obrazki przyrody, rozrzucone zwłaszcza obfitą ręką przez autora śród pieśni. Jakkolwiek dzisiejszemu wybrednemu czytelnikowi wydać się one muszą nieraz ubogie i naiwne, to jednak w XVI wieku były one istnem poetyckiem objawieniem nieprzeczuwanego dotąd piękna. Oto przykłady:

Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,
Lody zeszły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.

Łąki kwitną rozmaicie,
Zająca już nie znać w życie...

O, piękna nocy..
Patrz na nas jasno, wpośrzód tych tu lasów,
Gdzie jako pczoły koło swego pana,
Straż dzierżem, niecąc ognie aż do rana.

...by się namniej na drzewie wzjeżyły
Powiewne listki, by namniej ruszyły
Jaszczurki krzakiem...

A we wspaniałym hymnie do Boga czytamy:

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi...

Albo wreszcie taka oto pochwała kochanki:

Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija
Za jej stopami róża wstawa i lelija,
Jej k'woli piękne drzewa dają cień sowity,
Nie chcąc, aby jej ogień nie palił ukryty.

Do pełnego obrazu życia ziemianina nie brak u Kochanowskiego i hymnu na cześć towarzyszki żywota. Toć to wyraz kultu tak typowego dla Polaka, czego mnogie świadectwa znajdujemy w późniejszej literaturze, niekoniecznie doprowadzone do karykatury, jak to czyni Prus w „Placówce":

Może kto ręką sławy dostać w boju,
Może wymową i rządem w pokoju,
Lecz jeśli żona męża nie ozdobi,
Mąż próżno robi.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszytek; swego męża ona
Głowy korona.

Ona dziateczki ojcowi podobne
Rodzi, skąd rostą pociechy osobne,
Ani już spadków upatrują krewni
Dziedzica pewni.

Podobnież w pieśni innej, zwróconej do Myszkowskiego, biskupa naonczas krakowskiego, który go był gościł w Prądniku, poeta się wymawia od przedłużania gościny, tłumacząc się tęsknotą za żoną, gdyż

i ja i ona
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.

Wreszcie arcydzieło Kochanowskiego, „Treny", wedle pięknego określenia Windakiewicza, to „pomnik polskiego życia rodzinnego, pomnik miłości rodzicielskiej", gdzie poeta „zachował pamięć o trzech ideałach kobiecych ze swego otoczenia, o matce, żonie i córce".

Z tych to cnót domowych, z poglądu trzeźwego i umiarkowanego na świat, ze statku i równowagi wyrasta także patrjotyzm Kochanowskiego. Jego nurt nie gwałtowny, lecz dość żywy, niezbyt głęboki, ale trwały — wyraźnie odbija od egzaltacji patrjocentrycznej romantyków, którzy z Polski „zrobili nazwiska, pacierz, co płacze i piorun, co błyska". Jednak w „Pieśni o spustoszeniu Podola przez Tatarów", w „Proporcu", czy „Orfeuszu Sarmackim", w pięknej apostrofie do panujących „Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie", czy wreszcie w odpowiedzi na

paszkwil Desportes'a, p. t. „*Gallo crocitanti*", wszędzie dostrzegamy prawdziwe wzruszenie patrjotyczne, wysokie poczucie godności narodowej oraz dumę, płynącą z dostojeństwa prawdziwej wolności. W związku z tem należy podkreślić specyficznie staropolski kult dla znakomitych rodów, który widzimy np. w szeregu utworów na cześć Krzysztofa Radziwiłła czy też Tęczyńskiego.

Pomimo szczerego patrjotyzmu poety, nie można go jednak nazwać dobrym politykiem, co zresztą raz jeszcze potwierdza naszą tezę o typowo polskiej organizacji psychicznej Kochanowskiego. Świętosław Orzelski w swych „Interregnach" opowiada o mowie, którą miał poeta w kole szlacheckiem dn. 25 listopada 1575, przemawiając za elekcją „najmłodszego syna cesarskiego albo wielkiego księcia moskiewskiego, aby od młodu przywykł słuchać Senatu".

Niepowodzenia w czynnej polityce rychło też zniechęciły poetę i pobudziły go do powrotu na wieś, to pewne *refugium* dla naszej zawiedzionej szlachty... po dziś dzień.

Stosunek Kochanowskiego do spraw religijnych bierze źródło zarówno w jego realizmie i humanizmie, jako też w patrjotyzmie. Zagadnienia filozoficzne i dogmatyczne mało go naogół obchodziły, z wyjątkiem chyba lat ostatnich, po śmierci Urszulki (o czem niżej). Prawda że wśród elegij łacińskich znajdujemy jedną całkowicie poświęconą problemowi filozoficzno-religijnemu (IV, 3), ale to jest właśnie przeróbka z Lukrecjusza. Wraca tam poeta do myśli wielokrotnie już przez siebie wyrażonej, iż

> Nadto sobie pochlebia, kto sądzi, że one
> Wszytkie rzeczy na świecie dla niego stworzone.

Stawia dalej hypotezę nieśmiertelności ducha, rozstrzygając ją zresztą nader symptomatycznie:

> Większość uznała jednak, iż nie giną cale
> Takie dusze, a ieno żywią — wiecznotrwale [1]).

Wreszcie istnienie Boga sprawiedliwego Kochanowski osnuwa na postulacie moralnym i konieczności kary za grzechy i nagrody za cnoty.

Gdzieindziej (we „Fragmentach") jeszcze bardziej stanowczo rozwija swą wiarę w istnienie sprawiedliwości Boskiej i w nieśmiertelność duszy, na gruncie takiej samej motywacji:

> A ja patrzając z daleka
> Na szczęście złego człowieka,
> Im dalej, temem pewniejszy,
> Że jest żywot pośledniejszy.
> Bo żeś Ty Pan sprawiedliwy,
> Nie podoba-ć się złośliwy,
> A jeśli mu tu nie płacisz,
> Musi czas być, gdzie go stracisz.

Wobec tej religijnej filozofji Kochanowskiego dziwną conajmniej wydaje się próba Brücknera uczynienia zeń „deisty przed deizmem" [2]). Także należy stwierdzić, że jeśli wogóle Palingenjusz wywarł jaki wpływ na naszego poetę, to wpływ ten dotyczył jeno szczegółów drugorzędnych.

Podobnież zupełnie nieuzasadnione są dowowodzenia Chlebowskiego, że Kochanowski miał nietylko sympatje reformacyjne, ale nawet „zapał" ku nowinkom, że był wręcz „gorącym wyznawcą idej reformatorskich" („Pisma", II, 179). Pewne, słabe zresztą, skłonności ku Reformacji objawiał, prawda, poeta, ale gdy naonczas taki nawet prymas Uchański przewidywał utworzenie Kościoła Narodowego i to za zgodą Papieża (przed Soborem Trydenckim), to cóż się dziwiać, że i Kochanowski, nie bardzo w dogmatyce tęgi, dogadzał sobie w inwektywach na duchowieństwo w „*Carmen macaronicum*", czy też we fraszkach (O kaznodziei, O kapelanie, O gospodyni, O prałacie, Na posła Papieskiego), w pieśni o Dudyczu (biskupie ożenionym), wreszcie w dwu elegjach z rękopisu Osmólskiego. Prawda również, że poeta utrzymuje związki przyjaźni z adeptami Reformacji: Andrzejem Trzecieskim, z Firlejami, z Mikołajem Radziwiłłem, a Albertowi Pruskiemu wręcz ofiaruje swe usługi [3]). Wreszcie należy zwrócić uwagę na znamienną dla w. XVI okoliczność, że nigdzie u Kochanowskiego nie znajdziemy wzmianki o Matce Boskiej (Löwenfeld).

Jednak wszystkie te pro-protestanckie argumenty można śmiało zlekceważyć już przez wzgląd zasadniczy, a to przez pamięć na podstawy psychiki Kochanowskiego, która ulegała przedewszystkiem motywom praktycznego patrjotyzmu i zdrowemu rozsądkowi, unikającemu jak ognia rozdarcia i walk religijnych w narodzie. To też oprócz przyjaciół w obozie reformacyjnym dwakroć tyle miał ich poeta śród katolików, i to tak wybitnych, jak biskupi: Myszkowski, Padniewski, Hozjusz i sam był zresztą „proboszczem" w Poznaniu i Zwoleniu; żywił gorący kult dla monarchów katolickich, jak Karol V i Henryk II, a wreszcie, co najważniejsza, w pismach swoich stanowczo i niedwuznacznie broni sprawy Kościoła przeciw odszczepieńcom, wysuwając zresztą zawsze na czoło, zgodnie z naturą szczerego Polaka, względy natury praktycznej.

Więc np. w „Zgodzie" dowodzi, że laicy nie są powołani do decydowania o sprawach religijnych:

> Kościół to musi sądzić, który jako żywo
> Uznawał, co w tej wierze prosto, a co krzywo.
> Na tej twardej opoce rozbił się Arius...,
> I wszyscy, którzykolwiek wnieśli co nowego,
> Targając świętą zgodę Kościoła Pańskiego.

I dalej występuje przeciw protestantom z argumentem decydującym:

> Lecz wy, nie wynalazłszy pierwej nic lepszego,
> Nie chcecie zgoła trzymać porządku dawnego.

W „Satyrze" mówi wręcz:

> Nie uczyłem się w Lipsku ani w Pradze wiary,
> I nie wiem, jako każą w Jenewie u fary.
> Wszytko mam z pustelników...,
> Co mi naprzód prawego Boga ukazali
> I wiarę dostateczną do serca podali.

Wreszcie we „Wróżkach" w rozmowie między Plebanem a Ziemianinem, którzy obaj stoją na gruncie katolickim, poeta ubolewa nad „roztargnięciem na dziwne i rozmaite wiary", i stwierdza:

> „Wielkie tedy przeklęctwo, iż czego więcej nie rzekę, zasłużył, który tak święty związek i to chwalebne zjednoczenie między ludźmi targa".

To też powodując się patrjotyzmem przedewszystkiem, autor ostro gani nowatorów, którzy „fundamentów Rzeczypospolitej wzruszają". Oburza go także, rzecz znamienna, iż „nowi prorocy" usunęli z kościołów muzykę, którą, za Platonem, uważą za kształcicielkę ludzkich obyczajów.

Wreszcie w elegji do biskupa Padniewskiego na wjazd jego na biskupstwo krakowskie (1560), Kochanowski takie mu śle życzenie:

> Niechaj wilk srogi, wściekły i niesyty
> Nie dybie na twe owieczki bezkarnie;
> Niech przez ciebie odpędzon będzie od owczarnie,

[1]) Przekład J. Ejsmonda.

[2]) We wstępie do „Pism Zbiorowych", 71.

[3]) S. Kot — „Kochanowskiego podróże i studja zagraniczne".

Co jest oczywiście aluzją do przyszłych nieuniknionych walk biskupa z protestantami.

Tak tedy mamy oto obraz typowego Polaka swego czasu, wcielonego w największym poecie naszym przed Mickiewiczem.

Wyrastając z rzeczywistości polskiej i przyjmując jej kanony jako obowiązujące, Kochanowski, posiłkowany wzorami klasycznemi i humanistycznemi, wytwarza całkowity i konsekwentny pogląd na świat, i na jego dopiero zrębach wznosi gmach swego patrjotyzmu i religijności.

Czy obraz ten odpowiada jakowej stałej psychologji Polaka? Czy wogóle o tego rodzaju psychologji można mówić?

Odpowiedź na to, oczywista, odpowiedź negatywną, znajdziemy w samym poecie z Czarnolasu. I on się spotkał bowiem z mistrzem największym, cierpieniem, które wytrąciło go z równowagi, z dążności podporządkowywania wszystkich zjawisk życia horacjańskiej filozofji przeciętności i umiaru. Śmierć Urszuli wzburzyła jego duszę i wydobyła z niej owe pokłady religijności, które tam drzemały od lat dziecinnych. I oto owe nieśmiertelne skarby wiary katechizmowej okazały się mocniejsze od misternej budowy filozofji stoickiej. Poeta wyrasta ponad samego siebie, i wytrącony z równowagi, do której już mu nigdy nie było dane powrócić, tęskni do śmierci i rychło się jej oddaje, w Lublinie, troskając się w sprawie szwagra, Podlodowskiego, zabitego w Turcji.

I dziwna rzecz: zarówno Kochanowskiego zgon przedwczesny i tragiczny, jako też wstrząśnienie psychiczne, uwiecznione w „Trenach“, nabierają znaczenia symbolicznego, zwiastując jakgdyby owe przemiany, przez które Polska miała przechodzić. Polskość bowiem to nietylko statyka, lecz i dynamika. Norwid w „Rzeczy o wolności słowa” tłumaczy, że ten tylko pojmie ludzkość i potrafi ją wyrazić, kto ją ujmie, jako fakt wieczyście żywy, mający swą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, bo „dopiero widziana, jaką była, bywa i będzie — to dopiero jest ludzkość prawdziwa”. Podobnie rzecz się ma z narodem. Nie można się zasklepiać w jednym, czasowo przemijającym jego kształcie i aby być mu wiernym, trzeba wyczuć jego psychikę, wciąż rosnącą, i tkwiące w nim możliwości twórcze. „Aby być narodowym, być nadnarodowym i aby być człowieczym, właśnie, że ku temu być nadludzkim“.

Tę, jakże znów szczerze polską, potrzebę ustawicznego doskonalenia się, snadź intuicyjnie wyczuwał Kochanowski, ale nie starczyło mu już tchu, by potrzebę tę wyrazić. Ale Słowacki, mówiąc z lekceważeniem o Kochanowskim i nazywając jego „biedną” lutnię — „siostrą dzbana“, oraz ubolewając, że „ta, co leży pod trumnianą deską, dziś błyskawicą rozdarta północną — nigdy mu głowy nie zajęła mocno“, — mylił się stokrotnie, bo w „Trenach” widzimy zapowiedź głębi, do której sam Słowacki z wielkim trudem dochodził.

Bliższy jej był bezwątpienia Norwid, który kształtował swą filozofję właśnie na pismach Jana z Czarnolasu, dając mnogie tego dowody już w wierszach młodzieńczych, biorąc do nich najczęściej *motto* z Kochanowskiego właśnie. W cytowanej zaś powyżej „Rzeczy o wolności słowa“, wyśpiewując najpiękniejszy w literaturze hymn na cześć mowy polskiej, wplata weń imię wieszcza Czarnoleskiego, wykazując, co pierwociny naszej literatury zrobiły dla polskiej mowy. Oto bowiem:

Trzeba było łacińską, czeską lub niemiecką
piszące ortografją ustatkować dziecko;
Mowę zrównać, uczynić bogatą w nazwiska
Płodów ziemi i uczuć — dać jej grom, co błyska,
I dać jej ścisłość słowa statutów — i głębie
Biblijne, i niewieście gruchania gołębie,
Słodycz, i moc, i prawdy ciesielski sznur; potem
Tłumaczeniami stwierdzić—i jeszcze błyskotem
Bieżących wdzięków zwonić, jak ślubny strój żeński—
Żeby ów polski język nie opłonął naraz
Lecz jak twierdza zupełna, jak obronny taras
Ruś, Litwę, Prusy objął. Zarówno w Siewierzu,
Jak w Królewcu wybrzmiewał, albo Sandomierzu,
Gminny, sielski, uczony, kmiecy i królewski
Ten kasztelański Jana język Czarnoleski,
Język, który na sądzie popiołów zawoła:
Uwity jestem z nerwów skrwawionych Anioła,
I sądzę was od stopy do głowy, bo jestem
Wszystkich was razem duchem i moralnym chrzestem.

STANISŁAW CYWIŃSKI

PRZYRODA, JAKO ŹRÓDŁO „DOBREJ MYŚLI“ JANA Z CZARNOLASU

STAROPOLSKA poezja narodziła się w ciszy „wsi spokojnej, wsi wesołej“, w pogodny letni dzień, w cieniu lipy czarnoleskiej, w brzęku pszczół, zbierających kwietny miód. A przy narodzinach jej

„rozliczni ptacy w koło
odzywali się wesoło“...

Jak bujna roślinność, z ziemi ojczystej soki swoje czerpiąca, rozrosła się radośnie i zakwitnęła cudownie w pełnem słońcu sielskiej szczęśliwości...

„Dobra myśl“, która stanowi tak wybitną jej cechę, odzwierciadliła w sobie radość życia całej ówczesnej Polski. Była więc nietylko najwybitniejszym rysem naszego piśmiennictwa, ale też i naszego życia narodowego... Trwała zaś dotąd, póki wielkie nieszczęścia narodowe nie zaćmiły źródeł tej bujnej radości.

*

Zanim Jan z Czarnolasu znalazł najcudniejsze słowa w „Sobótkach“ dla wyśpiewania uroków polskiej „wesołej wsi“, chwalił już nieraz nieśmiertelne piękno przyrody pod wpływem rzymskiej poezji.

Kochanowski wszedł do piśmiennictwa, jako naśladowca poetów epoki augustowskiej. Opiewali oni szczęśliwość wiejskiego żywota „*procul negotiis*“. Uciekali od przesytu kultury, szukając na łonie dziewiczej przyrody źródła „dobrej myśli“. W utworach ich spotykamy przeciwstawienie dworskim zbytkom — beztroskiej radości „złotego wieku“.

Jan z Czarnolasu mówi nam o „złotym wieku“ w jednej ze swoich łacińskich elegij [1]):

Felix prima aetas, cum laxus nescia pubes
vitam inter silvas duxit et inter agros“,

co w moim przekładzie brzmi, jak następuje:

„Szczęśliwe dawne czasy, kiedy młodzież cała
bez zbytków żywot w lasach y polach spędzała.
Nie stroiły się wonczas nadobne dziewczyny
w klenoty, ani w miękkie iedwabne tkaniny.

[1]) Ks. I. El. 14.

Odzieżą była skóra pierzchliwey kozice,
ielenia albo wilka z górskiey okolice...
Iako dar dla kochanki, iako dar bezrowny,
starczył ielonek leśny, albo ptak malowny...
Ni iagodami z boru wonczas dziewka miła,
ani też złocistemi śliwy nie wzgardziła...
Skromney dziewczynie sprawiał niemało uciechy
upominek tak barzo mały, iak orzechy"...

Inna łacińska elegja [2]) poety zawiera przeciwstawienie żywota wiejskiego troskom „zwodniczego dworu". Kochanowski napisał ją w r. 1570 t. j. w roku przybycia do Czarnolasu. Poeta postanawia uprawiać „na wsi oyców rolę"... Swoboda jest mu droższą „y nad pereł blaski, y nad lidyjskiey rzeki złotonośne piaski"... Na łonie przyrody składać poczyna „pieśni zgodne z wzory łacińskiemi",

„które w chwili natchnienia będzie móy Sarmata
śpiewał swym miękkim głosem ukochanej ziemi"...

Żadne „wieśne" zajęcie nie hańbi:

Nie styd mi też owieczki hodować i plenić.
Stokroć więtszy styd cudzym sługą siebie mienić.
Wieś powstała na świecie przed warownym grodem.
Bez niey by murowany gród przymierał głodem"...

Dalej zaś czytamy:

„Jeśli Iowisz tarpeyską świątynią się chlubi
a woiownicza Pallas gród Cekropów lubi,
to myśmy złotowłosey Ceres ulubieńce,
gdy iey w czasie żniw kłośne oddaiemy wieńce...
Wdzięczne też iest y grono z winnicy doźrzałe,
letnią porą Bakchowi złożone na chwałę...
Pales mlekiem się cieszy, władnąc skotów stadem.
Priap owoców bogiem iest y rządzi sadem.
Nimphy górskie y wodne, y Pan Kozionogi,
y Faun szybki, y wszytki boginie y bogi
równo nam święci... Biorąc mile nasze dary
y pomni na biednego rolnika ofiary,
spełniaią sielanina pacierz upragniony,
mnożąc skoty y daiąc nam obfite plony"...

Wiersz ten, „zgodny z wzory łacińskiemi", *„Latiis non absona Musis"*, zimny jest, konwencjonalny i przepełniony mitologicznym balastem. Jakże jeszcze daleko jest tu poeta od bezpośredniości natchnień wierszy ojczystych, pisanych pod lipą czarnoleską, prostą mową, z serca płynącą i do serc trafiającą.

Zapraszając przyjaciela swego Piotra Myszkowskiego, biskupa krakowskiego, by go odwiedził w Czarnolesie, poeta sławi żywot wiejski następującemi słowy [3]):

„Indzie podziwiay sławne dzieła Parazyona,
y Skopasa, y złotem błyszczące podwoie..
Tu słodka pieśń ptaszęca y zdrowe powietrze,
y miły spokóy cieszyć będą syrce twoie..
Ano potrawki lekkie, ano rola wdzięczna,
przeźrzoczyste ieziora y cieniste lasy...
Na lep myślistwo ptasze, łowy na ielenie
w sidła—oto są wieśne rozrywki y wczasy"...

W wierszu makaronicznym *„Carmen Macaronicum de eliquendo vitae genere"*, Jan z Czarnolasu porównywa szczęśliwy żywot ziemiański z pełnem trosk życiem dworzanina, rycerza i kapłana:

„Swoius res optima kątus...
Nulli flecto genu, sum wolnus, servio nulli,
gaudeo libertate mea, pewnoque pokoio.
Non habeo wielkos sed non desidero skarbos.
Contentus sum sorte mea. Własnamque paternis
bobus aro ziemiam, quae me sustenat alitque.
Ipsi epulas nati, cnotliwamque żona ministrat
omne gotowa pati mecum, quodcumque ferat sors...
Sum procul invidia. Bezpiecznos dormio somnos.
Spero nihil, curas abigo, mihi denique vivo.
Sic olim vixisse homines, cum złote fuerunt
secula, crediderim potius, quam flumina lacte
manasse et dębos miodum rorasse gotowum.
Atque haec pro stano paucis sint dicta ziemiańsko"...

---

[2]) Ks. III. El. 15.
[3]) Ks. III El. 2.

Najpiękniejszym utworem łacińskim, przeciwstawiającym wieś i jej rozkosze złemu miastu jest elegja 13 ks. I, która w moim przekładzie brzmi, jak następuje:

„Żegnay niewdzięczny grodzie!
W wieyskiey odtąd zagrodzie
będzie mieszkać Lydia urodziwa...
Wołki pasay, Amorze,
y chroń, miłości boże,
mnie, wieśniaka, co ziemię zorywa...

W glebę tłustą y czarną
zacznę siać złote ziarno,
przyszłych plonów promienną nadzieię,
a przy boku mym będzie
na wsi zawsze y wszędzie
ta, za którą z affektu szaleię"...

Poeta marzy w dalszym ciągu, aby kochanka jego miłowała wieś i jej rozkosze, tak jak on je umiłował:

„Gdybych moia kochanka
chciała żyć, iak sielanka,
śród zielonych niw w wieśniaczej chacie
y nie tonąć w tęsknocie
po kleynotach i złocie,
y po stroyów bogatych szarłacie...

Niech przepomni na wieki,
w cichey wiosce dalekiey
o theatrów przepychu baśnianem,
y o chramach budownych,
y o łaźniach bezrownych,
cylicyjskim pachniących szafranem...

Odtąd wzrok iey niech pieści
gay, co słodko szeleści,
bór, gdzie ptacy śpiewaią skrzydlaty...
Źrzódło ze skał ciekące...
Trzody w polach krążące...
Łąki, tkane w w rozmaite kwiaty"...

Kochanowski woła w zachwycie:

„Na wsi pragnę żyć wieki
y starości dalekiey,
śród natury, doczekać bez troski.
Byleś ty ze mną była,
bylem z tobą, o miła,
żyć mógł wiecznie w zaciszu mey wioski".

*

Pod lipą Czarnoleską, gdzie słońce nie docierało nigdy w letnią spiekę „choć sie nawyżey wzbiie", gdzie „chłodne wiatry z pola zawiewały", gdzie słowiki i szpaki „wdzięcznie narzekały", a pszczoły pracowite brały miód „z wonnego kwiatu" — pod tą lipą w jeden z takich dni gorących przyszła na świat polska poezja... A jeśli drzewo „sprawiać umiało snadnie",

„że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie",

umiało ono również sprawiać, że gościowi, który siadł pod jego liściem, by odpocząć sobie, przychodziła myśl, aby lipę „darować rymem pochwalonym".

I oto pod lipą i w chłodniku i w jaworowym cieniu „przy ciekącym, przezornym strumieniu" powstawać poczynają polskie „wieśne" pieśni, przepojone umiłowaniem „wsi spokojnej, wsi wesołej", której „wszytkich wczasów y pożytków" żaden głos wyliczyć nie zdoła!

W natchnionych i rozkochanych w przyrodzie słowach mówi nam Kochanowski o radości wieśniaka, który „pługiem zarżnie w ziemię" i stąd „opatruie swóy dobytek"...

„Iemu sady obradzaią,
iemu pczoły miód dawaią...
Nań przychodzi z owiec wełna
y zagroda iagniąt pełna...
On łąki, on pola kosi,
a do gumna wszytko nosi"...

Nie zapomina poeta o rybołóstwie, ani o łowiectwie:

„...Gospodarz wziąwszy siatkę
idzie mrokiem na usadkę,
albo sidła stawia w lesie,
iednak zawżdy co przyniesie...
W ręce ma gęste więcierze.
Czasem wędą ryby bierze,
a rozliczni ptacy wkoło
ozywaią sie wesoło“...

Motywy łowieckie spotykaliśmy już w łacińskich pieśniach poety. Najpiękniejszy jednak opis łowów spotykamy w omawianej już przezemnie elegji łacińskiej do Lydji. Kochanowski, malując cuda przyrody przed swoją kochanką, woła:

„Lydio! nigdy sie nie leń
przez zarośla y zieleń
ścigać górskie kozice pierzchliwe.
Psy zbłąkane przyzywać,
ano trąbką zwoływać,
ano grać im pobudki myśliwe...

Arfa nie brzmi tak ładnie,
iak psów sfora, gdy wpadnie
na trop świeży gonioney zwierzyny,
uiadaniem donośnem
y szczekaniem rozgłośnem
ze snu budząc lasy y doliny...

Zwierz pomyka zlękniony
poprzez ostęp zielony.
Iak wichura mkną za nim ogary.
Granie psów y bek zwierza
pod niebiosa uderza.
Piekło. Hałas. Głębokie drżą jary“...

Łowieckie rozkosze, jako źródło „dobrej myśli“, wymienia poeta i w „Dryas Zamechskiej“, zwracając się do króla z następującemi słowami:

„Po ustawicznych
pracach odpoczni sobie w tych tu lesiech ślicznych.
Ale ieśli Cię raczey myśliwa myśl wiedzie
na dzikie wieprze iechać albo na niedźwiedzie,
lubo sarny po puszczach gonić wiatronogie,
wszystkiego tu, królu móy, naydziesz mnóstwo srogie“...

Kochanowski opiewa przyrodę wiosną, latem, jesienią i zimą.

„naweselsze czasy.
Zielenią sie pięknie lasy,
łąki kwitną rozmaicie.
Zaiąca iuż nie znać w życie“...

W innym wierszu pisze o wiośnie:

„Serce rośnie patrząc na te czasy.
Teraz drzewa liście na się wzięły.
Polne łąki pięknie zakwitnęły...
Teraz prawie świat się wszystek śmieje.
Zboża wstały, wiatr zachodny wieie.
Ptacy sobie gniazda omyślaią,
a przededniem śpiewać poczynają“...

O lecie pisze poeta:

„Gorące dni nastawają,
suche role nie padaią.
Polny świercz, co głosu staie
gwałtownemu słońcu łaie...

Już mdłe bydło szuka cienia
y ciekącego strumienia...
A pasterze chodząc za niem
budzą lasy swoiem graniem..

Żyto nie w polu dostawa
y swoią barwą znać dawa,
iż iuż niedaleko żniwo“...

Ale choć „słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie“, choć „świata nie znać w kurzawie, rzeki dnem uciekaią, a zagorzałe zioła dżdża z nieba wołają“, poeta nie skarży się na upały. Przyroda i latem napełnia duszę jego rozkoszą i szczęśliwością. W czasie skwaru chętnie chroni się „w cień lipowy“,

„gdzie gospodarskiey głowy
od gorącego lata
chroni list, za wsadzenie przyjemna zapłata“.

Tam powstają najpiękniejsze utwory Kochanowskiego. W wierszach poety spotykamy i jesień:

„Patrzay, iako śnieg po górach się bieli...
Wiatry z północy wstaią.
Ieziora sie ścinaią...
Żórawie, czuiąc zimę, precz lecieli“...

O zimie mówi nam inna pieśń:

„Patrzay teraz na lasy,
iako prze zimne czasy
wszytkę swą krasę drzewa utraciły,
a śniegi pola wysoko przykryły.

Po chwili wiosna przyidzie.
Ten śnieg znienagła zyidzie,
a ziemia, skoro słońce iey zagrzeie
w rozliczne barwy znowu sie odzieie“...

Przyroda i jej urok zwracają oczy poety ku Temu, który świat cały tworząc „niebo zbudował y złotemi gwiazdami ślicznie uhaftował“, ku Temu, który „fundament założył nieobeszłej ziemi“ i przykrył „iey nagość zioły roślinnemi“. Poeta wielbi Boga, co ziemię ubrał „to górami, to lasy, to kryształowemi rzekami, to łąkami, pięknie kwitnącemi“ i woła do Niego w natchnieniu:

„Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi.
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi.
Wino iesień y iabłka rozmaite dawa,
potem do gotowego gnuśna zima stawa...
Z łaski Twey nocna rosa na mdłe zioła padnie,
a zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrza swey żywności,
a Ty każdego żywisz z Twey szczodrobliwości“...

Pogodna religijność, cechująca ten utwór, jest czemś nowem w poezji polskiej. Religja ascetyczna, zimna i smutna, wyrzekająca się życia i nazywająca grzechem każdą radość, uśmiechnęła się promiennie pod wpływem ziemiańskiej szczęśliwości... I ten jej uśmiech jest wielkiem zwycięstwem „wsi spokojnej, wsi wesołej“ nad niepokojem i smutkiem ludzi, którzy się odwrócili od przyrody.

JULJAN EJSMOND

O SONETACH JANA Z CZARNOLASU

KIEDY przed stu laty „krytycy i recenzenci warszawcy” zżymali się i oburzali na wprowadzoną przez Mickiewicza „barbarzyńską” formę sonetu, uważając ją za „rodzaj literaturze naszej zupełnie obcy”, nie podejrzewali nawet, że forma ta istniała w naszej literaturze już od lat dwustu pięćdziesięciu, co więcej, że pierwszy zastosował ją w mowie polskiej ów poeta, na którego tak często powoływać się zwykli — Jan Kochanowski.

Sonety Kochanowskiego, ukryte w labiryncie „Fraszek”, długi czas uchodziły baczności badaczów. Nawet Mickiewicz, który dostrzegł dantejską tercynę w jednym z „Fragmentów”, sonetów owych nie zauważył. Dwa z nich wyłowił i omówił dopiero Chmielowski (1871). Później wykryto i trzeci sonet. Wszystkie trzy doczekały się szczegółowego rozbioru w pracach najpierw prof. J. Łosia, następnie zaś prof. Wł. Folkierskiego. Z rozbiorów tych okazało się, że z owych trzech sonetów jeden

tylko ma przepisową postać sonetu włoskiego. Włoszczyzna to zgoła na miejscu, skoro w sonecie zwraca się poeta do przybysza z Włoch — „Franciszka”:

Ani Ulisses ani Jazon młody,
Choć o nich starzy siła nabajali,
Tak wiele ziemie snać nie objechali,
Jako ty, który od Tybrowej wody

Szedłeś, Franciszku, przez różne narody
Aż tam, gdzie nigdy lata nie uznali
I ogniów palić ludzie nie przestali
Prze mróz gwałtowny i prze wieczne lody.

Więc i w to nie wierz, aby w tej krainie
Medea jaka i Circe nie była,
Któraby ludzie obracała w świnie;

Tak sie tu dobrze druga wyćwiczyła,
Żeby tę samą, co tak barzo słynie,
W niedźwiedzia Circe łatwie obróciła.

Cechą włoskiego sonetu jest podział sześciu wierszy ostatnich na dwa tercety. W dwóch innych sonetach już cechy tej nie spotykamy; w myśl zasad panujących w poezji francuskiej owe sześć wierszy końcowych rozbija się na dwie nierówne części, z których jedna jest czterowierszem, druga dwuwierszem. Oto jak brzmi sonet „Do paniej”:

Imię twe, pani, które rad mianuję,
Najdziesz w mych rymiech często napisane.
A kiedy będzie od ludzi czytane,
Masz przed inszemi, jeśli ja co czuję.

Bych cię z drogiego marmoru postawił,
Bych cię dał ulać i z szczerego złota
(Czego uroda i twa godna cnota),
Jeszczebych cię czci trwałej nie nabawił.

I mauzolea i egipckie grody
Ostatniej śmierci próżne być nie mogą,
Albo je ogień abo nagłe wody
Abo je lata zazdrościwe zmogą!

Sława z dowcipu sama wiecznie stoi
Ta gwałtu nie zna, ta się lat nie boi.

A oto sonet „Do Stanisława”:

Nie przez pochlebstwo ani złote dary,
Jako te lata zwykły teraźniejsze,
Ale przez cnotę, na miejsce ważniejsze
Godziesz Wapowski, jako zwyczaj stary.

Szczęśliwe czasy, kiedy giermak szary
Był tak poczciwy, jako te dzisiejsze
Jedwabne błamy coraz kosztowniejsze:
Wprawdzieć nie było kosztu na maszkary,

Ale był zawżdy koń na staniu rzeźwi,
Drzewo, tarcz pewna i pancerz na ścienie,
Szabla przy boku, sam pachołek trzeźwi
Nie szukał pierza, wyspał się na ziemie.

A bił się dobrze: bodaj tak uboga
Dziś Polska była i poganom sroga.

Pierwszy z tych dwóch sonetów (do którego tak dziwnie podobny jest nawet wyrażeniami sonet Mickiewicza „Pożegnanie, do D. D.”) ma budowę od drugiego nieco różną, mianowicie jego dwie pierwsze zwrotki nie wiążą się z sobą rymami[1]). Przeto, jak słusznie zaznacza w swej książce prof. Łoś, trzy przytoczone fraszki „przedstawiają u Kochanowskiego rozwój formy sonetu”. Sonet „Do paniej” ma formę najmniej „prawidłową”, a „najpoprawniej” zbudowany jest sonet „Do Franciszka”. Wolno stąd snuć pewne wnioski o kolejności powstania tych trzech tworów, w każdym razie przypuszczać się godzi, że mistrz czarnoleski nie odrazu zżył się z trudną formą sonetu i że dosyć natrudzić się musiał, zanim zdobył sobie w niej giętkość i precyzyjność należytą.

Co w sonecie musiało Kochanowskiemu — i nieco młodszemu odeń Szarzyńskiemu — sprawiać trudność największą, to przeplatane rymy jego wierszy. Przeplatanie rymów do rzadkości należało w dawnej poezji polskiej. Wprawdzie zjawisko to spotykamy już w „Bogurodzicy” (Łoś słusznie zachwyca się kunsztownością tej prapieśni polskiej), ale później, w poezji średniowiecznej i wczesnorenesansowej panują niemal wyłącznie wiersze rymowane parzyście: a a, b b, c c... Tak jest i u Kochanowskiego. Poza wspomnianemi trzema sonetami znajdujemy u niego raz sestynę a b a b c c (Psalm 7), dwukrotnie tercynę a b a, b c b, c d c... (Ps. 15 i Fragm. 4) oraz raz zwrotkę czterowierszową rymowaną a b b a (Pieśni, I, 14):

Patrzaj, jak śnieg po górach się bieli,
Wiatry z północy wstają,
Jeziora się ścinają,
Żórawie, czując zimę, precz lecieli...

Zatem wszystkiego siedem utworów o rymach przekładanych. Jak na puściznę Kochanowskiego, obejmującą conajmniej kilkaset utworów wierszowanych, jest to odsetek bardzo mały. Wszystkie inne utwory (poza „Odprawą posłów” i przekładem „Alcesty”, pisanych wierszem białym) rymują się stale parami.

Jak wiadomo, sonet różne przechodził fazy i przekształcenia — nawet w XIX i XX wieku. Kto ciekaw wszystkich przekształceń sonetu na niwie literatury polskiej, tego odsyłam do ciekawej książki prof. Folkierskiego „Sonet polski”, wydanej w „Bibljotece Narodowej”. Tamże w przedmowie znajdzie dzieje pierwotne sonetu. Dowiadujemy się z nich, że sonet najdawniejszy miał inny układ rymów, aniżeli ten, który się spotyka w jego typie, że tak powiemy, klasycznym. W r. 1878 uczony włoski D'Ancona wysunął „hypotezę pochodzenia sonetu z ludowych *strambotti*, strof rymowanych po dwa wiersze, zasadniczo 4-wierszowych, z ewentualną doczepką (*ripresa*) dwuwierszową, częstą w Toskanji”. Innemi słowy mówiąc, wedle tej hypotezy miałby pierwotny sonet postać następującą:

Zwrotka	I	a a b b	wzgl.	a b a b	= 4 w.
„	II	c c d d	„	c d c d	= 4 w.
„	III	e e f f	„	e f e f	= 4 w.
„	IV (*ripresa*)	g g [2])			= 2 w.
Razem					14 wierszy

Teorja D'Ancony miała swoich wyznawców i kontynuatorów, którzy ją wsparli wieloma argumentami. Cytować ich nie będę, by nie odbiegać zanadto od tematu i żeby nie powtarzać rzeczy, które prof. Folkierski w swej książce ujął gruntownie i przejrzyście. Powrócę do Kochanowskiego. Otóż niektóre jego utwory, wchodzące w skład „Fraszek”, mają postać, która odpowiada jakby owym „strambotycznym” sonetom: liczą bowiem po 14 wierszy, dzielące się na 3 zwrotki czterowierszowe — rymowane parami — z dwuwierszową *ripresa* na końcu. Weźmy dla przykładu słynną fraszkę „O doktorze Hiszpanie”:

I zwr.
Nasz dobry doktor spać się od nas bierze
Ani chce z nami doczekać wieczerze;
Dajcie mu pokój — najdziem go w pościeli,
A sami przedsię bywajmy weseli!

[1]) Pierwszy sonet ma schemat: a b b a, c d d c, e f e f, g g. Drugi zaś a b b a, a b b a, c d c d, e e.

[2]) Oczywiście pewne rymy mogły się powtarzać, stąd II zwr. mogła mieć np. postać a a b b lub a b a b i t. d.

II zwr.
Już po wieczerzy, pódźmy do Hiszpana!
Ba, wierę, pódźmy — ale nie bez dzbana!
Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły...

III zwr.
Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie!
By jeno jedna — doktor na to powie:
Od jednej poszło aż więc do dziewiąci,
A doktorowi mózg sie we łbie mąci.

ripresa
„Trudny — powieda — mój rząd z tymi pany:
Szedłem spać trzeźwy, a wstanę pijany".

Wiele fraszek swawolnych, ba rubasznych często i miłosnych, jest pisanych tą samą formą czternastowierszową, rozpadającą się na trzy strofki czterowierszowe z *ripresą*. Oto w księdze pierwszej mają tę postać fraszki następujące: „Do Pawła", „O prałacie"; w księdze drugiej: „Na zachowanie", „Do Anny" („Wczora czekając na twe obietnice"...); w księdze trzeciej: „Do miłości" („Gdzie teraz ono jabłko"), „Do Reiny", „Do Zofijej", „Do Jadama Konarskiego", „Nagrobek Gąsce". Nastrojem swoim odbija od nich prześliczna „Modlitwa o deszcz":

I zwr.
Wszego dobrego Dawco i Szafarzu wieczny,
Tobie ziemia, spalona przez ogień słoneczny,
Modli się dżdża, i smętne zioła pochylone
I nadzieja oraczów, zboża upragnione...

II zwr.
Ściśni wilgotne chmury świętą ręką Swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją,
Ogniem zjęte; o Który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary Swoje!

III zwr.
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym.
Ty przepaści nasycasz i łakome morze,
Stąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.

ripresa
Kiedy Ty chcesz, wszytek świat powodzią zatonie
A kiedy chcesz, od ognia jako pióro wspłonie...

Czy w myśl Kochanowskiego owe czternastowierszowe utwory miały być sonetami? Trudno twierdzić napewno; wolno nam tylko przypuszczać, że jak III chór „Odprawy" „Graeckim jakoby przyganiał", tak i owe czternastowierszowce „przyganiały" sonetom, które również były naonczas „nie wedla uszu naszych" i „osobny charakter" miały. Nie wdrożywszy się jeszcze do rymów przekładanych, posługiwał się w tych utworach poeta rymem parzystym, jakby podejmując dopiero ćwiczenia wstępne do przejścia w regularną budowę sonetu. W każdym razie i owe jakoby „strambotyczne sonety" spełniają jeden postulat sonetowej formy: oto osiem pierwszych wierszy i formalnie i treściowo silnie odgranicza się od sześciu następnych.

JÓZEF BIRKENMAJER

EPIZOD Z DZIEJÓW ZBLIZENIA FRANCUSKO-POLSKIEGO

(1574)

ODBYWAJĄCE się obecnie uroczystości ku czci Jana Kochanowskiego zwracają naszą uwagę ku bogatemu splotowi zagadnień związanych z całą jego epoką. Nie inaczej pojął swą pracę zjazd krakowski, stwarzając sekcje historyczno - kulturalną i historyczno - społeczną obok sekcji historyczno - literackiej. Kwiat poezji Jana z Czarnolasu wyrasta na tle wspaniałej kultury Jagiellońskiej, ta zaś opiera się z kolei na mocnym choć tak niestałym zrębie podbudowy politycznej. Polityka wewnętrzna i zewnętrzna naszego złotego wieku winna dziś też być rozpatrywana, jako część składowa XVI-wiecznej kultury. Jej zaś sprawiedliwa ocena wymaga rozpatrywania, jeśli nie *sub specie aeternitatis*, to w każdym razie pod postacią ciągłości naszych dziejów. Niestety słuszniejby to może mówić skromnie o c i ą g u, niźli o c i ą g ł o ś c i. Czegóżbo mniej w naszej historji, niż owego świadomego wiązania wysiłków z wysiłkiem, jakie zdaje się mieścić w pojęciu c i ą g ł o ś c i?

Bądź jak bądź, analizując zasadnicze elementy naszej polityki XVI-wiecznej, musimy wciąż myśleć o katastrofie wieku XVIII-go i o radosnem odrodzeniu roku 1919. Nie trzeba było być Skargą w drugiej połowie wieku szesnastego, by lękać się o przyszłość państwa, wystarczyło być Orzechowskim. Lat temu dwadzieścia mogliśmy, jako nieszczęśni epigoni niepodległości, niewiele więcej nad rozpamiętywanie ich słów. Byliśmy tradycyjnymi mędrcami po szkodzie. Dziś, oparci o nasz byt państwowy, znajdujemy się znów przed szkodą i oglądamy się wstecz za zdrowemi ziarnami naszej państwowej myśli XVI-go wieku.

Nie było ich zbyt wiele. Zdrowemi mogą tu być jednak nawet zamierzenia, których wykonanie miało niestety okazać się i tragicznem i nawet tragikomicznem.

Myślimy o przymierzu francuskiem, które zdawało się świtać na dobre z henrycjańską elekcją. Przymierze to, narzucające się od wieków samą wymową geograficzną germańskiego faktu, bywało jednak stale marnowane. Realizowane było przez Kościół u zarania naszych dziejów, skoro klasztory nasze, stale przeskakując ościenne zakony niemieckie, zwracały się o pomoc i współpracę dalej, ku Belgji i Francji[1]). Wskrzeszane było przez Uniwersytet Jagielloński, budowany na wzór na wzór Sorbony. Wreszcie w r. 1574 wydostawało się wręcz na arenę polityczną. Wiadomo jak bolesne miało tu być rozczarowanie. Nędzota, jaką przedstawiał ostatni z Walezjuszów, nie dorastała wyżyn myśli historycznej, która jego dynastji, nawet pod jej zmierzch, wcale obcą nie była.

Dziś, po dalszych przegranych etapach francuskiego przymierza w XVII i XVIII wieku, w których graliśmy, my, licho pierwsze skrzypce, po sentymencie rycerskim epopei napoleońskiej, realizujemy znów w politycznych wymiarach pełną koncepcję francusko-polskiego aljansu. Od stron obu zależy, by sojusz ten, tym razem, stał się wreszcie tem, o co woła tysiąclecie wspólnej historji.

---

[1]) Por. tak ciekawą rozprawą X. dra Davida: „*La Pologne et l'evangélisation de la Pomeranie aux XI-e et XII-e siecles*" z przedmową prof. Sobieskiego. (*Paris*. Gebethner, 1929).

I tu właśnie, z okazji XVI-wiecznych wspominków obecnych, ów pierwszy aljans henrycjański nabiera specjalnej wymowy. Wiadomo, czem się stał i jak spełzł na niczem. Ale oto dokument, który zwięźle i żywo powie, czem być miał.

Między listami, pisanemi przez Karola IX francuskiego do brata w Polsce, znajduję bilet następujący:

A Monsieur mon frère le Roi de Pologne.

Monsieur mon frère.

Balagny, présent porteur, est si bien instruit de la charge qu'il vous porte que je penserais lui faire tort si je faisais cette lettre plus longue, sinon pour vous dire que, vous étant là, nous tenons les deux bouts de la courroie, et que, si nous jouons bien notre jeu, il la fandra tant serrer que nons fassions crever ce qui sera entre deux. Et sur ce je vous baise les mains.

Votre bien bon frère et ami,

CHARLES[2])

[2]) *fonds Bèthune* 8748 f^0 *z b.* Wydane w „*Revue Rétrospective*" 1834, IV. 41.

Główny ustęp tego listu, po wstępie okolicznościowym odnoszącym się do posła Balagny'ego, brzmi jak następuje:

„Chcę Wam tylko powiedzieć, że jak długo Wy tam jesteście (tam, t. zn. w Polsce), dzierżymy w ręku oba końce rzemienia i że, jeśli tylko dobrze grę poprowadzimy, trzeba będzie ten rzemień ścisnąć tak, by pękło to, co jest w pośrodku".

Słowa wymowne w swej zwięzłości. Zapewne, w dzisiejszej erze Genewsko-Lokarneńskiej zdrożnem i zbędnem byłoby grożenie komukolwiek „pęknięciem". Ale czytając te słowa pełne dynastycznej powagi i, co więcej, dziejowej wagi, z melancholją myślimy o pp. Briandzie i Zaleskim. Niechby i oni powiedzieli sobie: „*si nous jouons bien notre jeu*". Od tego zależy dziś trwałość koncepcji, której komiczną nietrwałość oglądał Kochanowski.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

WSPOMNIENIE CZARNOLESKIE

Z ROKU 1892 W WARSZAWIE

JAK wcześnie i w jaki osobliwy sposób zawierało się czasem pierwszą znajomość z Janem Kochanowskim w domu polskim — niech świadczy następujące wspomnienie:

Z zestawienia pewnych dat i zdarzeń rodzinnych wnoszę, że już w szóstym roku życia (a więc około r. 1892) przyjąłem do wiadomości istnienie „Księcia poetów", którego córka „mówiła wierszami", a potem zmarła w wieku dziecinnym. Zaciekawiony rówieśniczką, będącą jednocześnie księżniczką i nieboszczką, a więc piastującą niedościgłe zaszczyty, zasięgałem o niej języka, gdzie się tylko dało.

Smarkaczowska ankieta przyniosła wyniki obfite. Pouczyła mię nietylko o imieniu Urszulki, ale i o rzeczy najcudowniejszej i najstraszliwszej na świecie, mianowicie, o pokazywaniu się duchów.

Nie wiem, skąd wiedzą dzieci o istnieniu t. zw. „strachów", ani kto pierwszy strachu je naucza. W każdym razie ja sam nie zaraziłem się tą wiedzą tajemną od służby, która miała surowo zabronione szerzenie zabobonów: rzecz działa się, kiedy pozytywizm stał u nas w zenicie. Jeśli zatem bałem się siedzieć pociemku, to zaraz niańka upewniała mię, iż „żadnych duchów niema, bo duchy mają co innego do roboty".

Wskutek częstego wysłuchiwania tej prawdy, wyryła się ona w mojej głowie wielkiemi literami. Aliści rozum z niańką swoje, a strach z fantazją swoje. To drugie stronnictwo wzięło u mnie górę, pokazawszy mi naocznie ducha Urszulki, nieboszczki, księżniczki i poetki.

A było to tak: Przedewszystkiem był ciemny „pasaż" między pokojem stołowym a kuchnią. Tam w rogu, nieopodal łóżka kucharki, stała zielona skrzynia, przerastająca o całe wieko moją nad wiek wybujałą sześcioletnią wysokość. Skrzynia ta była magazynem cudów, zapędzającym w kozi róg sam wór św. Mikołaja z wigilijnemi darami. Na samem dnie spoczywał cybuch wiśniowy mojego wzrostu, z bursztynem gruszkowatym, który mi do ust nie wchodził, chociaż je rozdziawiałem od ucha do ucha.

Ten drąg aromatyczny lubił ciepło, jak Turek, bo przykrywał się stertą szalów wschodnich, poprutemi sukniami z mnóstwem wyblakłych wstążek i dziurawych koronek. Był tam cały strych w minjaturze. Na dnie zaś, — obok drągala od fajki, stała w tej wielkiej skrzyni mniejsza skrzynka ze srebrem stołowem od parady i z pamiątkami, których dzieciom nie dawano do rąk. Rzadkie to były chwile, gdy Mama odwijała ze skrawka welonu kromkę suchego chleba z wetkniętemi w nią dwoma dukatami, bryłeczką soli i kawałkiem cukru...

Otóż na tym zielonym kufrze zobaczyłem kiedyś o zmierzchu Urszulkę Kochanowską. Stała w białej i lekkiej jak welon sukience, przewiązanej szarfą bez barwy i miała rozpuszczone, złotawe włosy, w których jej twarz rozpływała się tak, jak się rozpływa księżyc w lisiej czapce z mgły.

Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że to ona, Urszulka i nie zląkłem się wcale. Chciałem nawet podejść bliżej, ale stropiła mię ciemność; ciągle więc patrząc na Urszulkę, otworzyłem drzwi do stołowego pokoju i zobaczyłem, że już zapada zmrok. Wtenczas dopiero strach mię obleciał naprawdę, bo według mojej smarkatej demonologji samorodnej, — o szarej godzinie chodziła powietrzem szara pani, kiwająca palcem wabiąco, z odpychającym uśmiechem. Na myśl o tem, umknąłem do matki, wstydząc się trochę sam siebie i żałując straconych odwiedzin Urszulki, która, jak byłem pewien, długo na kufrze jeszcze stała.

Prawdopodobnie było to przywidzenie. Poprostu odtworzyłem sobie po amatorsku w teatrzyku dziecinnej wyobraźni tren Kochanowskiego o widzeniu umarłej córeczki we śnie. W mojej pamięci wizyta jej zapisała się jednak nie jako przywidzenie, ale jako fakt i ma też dla mnie do dzisiaj posmak przeżycia prawdziwego.

W kilka lat później Kochanowski znów oddał mi usługę, tym razem na pograniczu istotnego

życia duchowego. Miałem właśnie iść po raz pierwszy do spowiedzi. Zdobyłem się na skrupulatny rachunek sumienia, ale nie stać mię było wobec grzechów na żal doskonały. W oschłości moich modlitw krzewił się przymus i zniechęcenie.

Szukając jakiegoś wyjścia, sięgnąłem po najgrubszą, babczyną jeszcze, książkę do nabożeństwa, gdzie na odwrocie okładki spisany był rejestr wydarzeń rodzinnych ze wzmianką, iż dnia takiego a takiego „urodził się nasz najukochańszy synek Staś“, poczem spis kończył się datą śmierci mego ojca.

Otóż ta zacna książka otworzyła mi się na psalmie „Kto się w Opiekę“, podanym bez poprawek Konopnickiej, która polszczyznę Kochanowskiego później unowocześniła. Psalm ten z „łowczemi obieżami“ i całą strofą ostatnią, w nieznanem mi poprzednio, autentycznem brzmieniu, wydał mi się czemś nowem i wzruszył mię do głębi, wywołując ducha skruchy i żalu.

Odtąd wiedziałem, skąd mi najłatwiej zawziąć pokrzepienia. Ilekroć chciałem dźwignąć się na duchu, brałem „Psałterz Dawidowy“, by przedewszystkiem odczytać sobie najulubieńsze strofy Psalmu LXXXIX:

...Wszyscy mocarze ziemscy Tobie biją czołem,
A jasność prawdy Twojej obeszła Cię kołem.
Ty pychę morską krócisz, Ty nieujeżdżone
Wały jego hamujesz pod niebo wzniesione..
Południe i północy, wschód słońca różany,
I zachód Twym dowcipem stoi zbudowany.
Można jest ręka Twoja, wysoka prawica,
Na sądzie a na prawie Twoja tkwi stolica.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA POKŁADZIE „KENTUCKY“

(WSPOMNIENIE)

„KENTUCKY", utrzymujący w r. 1923 komunikację morską pomiędzy Polską i Francją, tym razem odpływał z portu gdańskiego dopiero około godziny 9 wieczorem. Przez całe popołudnie na statek załadowywano emigrantów, którzy w ciasnym, nieruchomym szeregu, na kamiennem, rozprażonem od upału sierpniowego wybrzeżu, wyczekiwali cierpliwie na powolne sprawdzanie dokumentów i biletów i poddawanie każdego wychodźcy po kolei oględzinom przez lekarza okrętowego. Byli to mężczyźni młodzi, krzepcy, choć chwilowo przygaszeni wskutek znużenia, ubrani biednie, prawie wszyscy bez kołnierzyków i krawatów, niektórzy boso. Jedynie zamożniejsi posiadali kuferki drewniane, skrzynki lub zawiniątka. W szeregu było także wiele kobiet, również silnych i młodych, w kolorowych chustkach na głowach, nierzadko z dziećmi na rękach.

„Kentucky" był typowym okrętem emigranckim: rozmiarami pokaźny, ładowny, ale zupełnie pozbawiony jakiejkolwiek elegancji i komfortu. Z górnego piętra, gdzie jako uczestnicy wycieczki studenckiej do Francji korzystaliśmy z wygodniejszej nieco t. zw. *troisième classe de préférence*, można było oglądać niższy pokład parowca, na którym obecnie, po spiekocie i udręczeniach dnia minionego, wypoczywali stłoczeni emigranci, oddychając rzeźwiejszem powietrzem morskiem i spozierając na znikające w coraz większem oddaleniu światła portowe. „Kentucky“ posuwał się bez szelestu po zupełnie gładkiej płaszczyźnie morza, wśród spokoju nocy bezwietrznej, pogodnej, ale ciemnej z powodu nowiu. Opodal błyskała latarnia morska na Helu.

Nagle, pośród ciszy całkowitej, z dolnego pokładu buchnął śpiew:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu“...

Rozpoczęły kobiety, przyłączyły się głosy męskie, coraz donośniejsze, coraz liczniejsze:

„Śmiele rzec może: Mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga“...

W czarności nocy zacierały się odległe zarysy brzegu. Gromada emigrancka płynęła w świat, do ludzi obcych, nie znająca ich języka, kraju, obyczaju, nieprzygotowana wobec możliwości wyzysku, niedoświadczona, nieświadoma. A jednakże nie czuje się całkiem bezbronna:

„Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się najdzie w domu twoim szkoda“...

Szybko i równo przecina „Kentucky“ zlekka już teraz falującą, czarną powierzchnię Bałtyku. Za kilka dni wychodźcy zaczną żyć w nowem zupełnie środowisku, które ich pociągnie, ogarnie, zaimponuje im organizacją i dobrobytem. Niełatwo będzie walczyć skutecznie z pokusą zapomnienia. Wszak wielu z nich — to chłopaki zaledwie kilkunastoletnie, nie zapoznane z Polską, często nie wdrożone nawet zapewne w trudną umiejętność czytania i pisania. Może ta pieśń — to jedyny rzeczywisty „puklerz mocny“, który będzie ich osłaniał przed wynarodowieniem: wspomnienie ostatniego pożegnania z polskim lądem, ostatniego wieczoru pod polskiem niebem:

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz...
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz“.

Prawdziwie tajemnicza jest moc ciągłości cywilizacji narodowej. Czyż nie na to polski duch religijny znalazł kształt przed wiekami w psalmie Kochanowskiego, ażeby dziś, w chwili w życiu ich przełomowej, dla rzeszy wychodźców, słowa pieśni jego stały się najpotrzebniejszem, wyczekiwanem nieświadomie pocieszeniem i pokrzepieniem? Czemże jest przedział kilku stuleci w życiu narodu? Ten sam wiatr, który niegdyś poruszał liśćmi lipowemi w Czarnym Lesie, na nowo powiał w tej chwili, ochładzając rozpalony kadłub i gorące, zaduchu pełne kajuty emigranckiego okrętu. Czyż nie spełnia się misterjum bytu narodowego w tych emigrantach - nędzarzach, a przecie jednocześnie bogaczach, prawych dziedzicach skarbów najcenniejszych, pozostałych po Złotym Wieku Zygmuntów?

„I gdyby stary ów Jan Czarnoleski z mogiły powstał...“ Ale pocóż miałby powstawać z martwych? Czyliż nie czujemy go pośród nas, w Polsce dzisiejszej, czyż nie jest — żywy?

JAN REMBIELIŃSKI

NA WIDOWNI

Kochanowski jako ziemianin.—Kochanowski i Ford.— O myśleniu miejskiem i wiejskiem.—Co jest w myśleniu racjonalnością. — Jaki świat chcemy tworzyć. — Wieczność i doczesność. — Wartość i użyteczność. — Irracjonalność wartości. — Twórcy i używacze. — Społeczeństwo, naród i cywilizacja. — System gospodarczy Kochanowskiego.

GDY wypadło mi pisać do zeszytu tego, poświęconego Kochanowskiemu, byłem na wsi mazowieckiej. Miałem możność zastanawiać się nad kulturą duchową poety ziemianina z przed lat czterystu, który snuł refleksje ekonomiczne w tym duchu:

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?..
Człowiek w twej pieczy uczciwie
Bez wszelakiej lichwy żywie:
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie...
Oracz pługiem zarznie w ziemię,
Stąd i siebie, i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek...

Myśl, strojona wdzięcznością ku Bogu i ziemi, dobre samopoczucie społeczne, że dostatek pozwala mu „bez lichwy“ zadosyć czynić obowiązkom patrjarchalnym wobec rodziny i czeladzi,—myśl ziemianina streszcza się kiedyindziej w tej wspaniałej dydykacji:

P a n i e, to m o j a p r a c a a z d a r z e n i e T w o j e!

Uczucie, że znajduję się właśnie w środowisku, które dziś tak samo warsztat swój kocha, odczuwając w nim wartości, daleko przekraczające granicę myślenia gospodarczego — dajmy na to — Forda, jest rozkoszą wypoczynkową dla duszy, udręczonej atmosferą myślenia merkantylnego w mieście. Nie podobna wszakże pisać pod nagłówkiem „Na widowni” o tem, co było lat temu czterysta. Pod ręką mam czasopisma do dworu przychodzące.

Oto bardzo interesujący zesz. 5 „Gminy“, miesięcznika, poświęconego sprawom samorządu i kultury wsi. Doprasza się o dyskusję pierwszy z artykułów: inżyniera Fryderyka Zolla p. t. „Myślenie wiejskie i miejskie,“ wkraczający w zakres psychologji społecznej. Temat ten zainteresował autora po przeczytaniu wstępu do dzieła prof. W. Jaworskiego o reformie rolnej, gdzie uczony prawnik i publicysta (a poza tem na użytek osobisty filozof hołdujący metafizyce) czyni rozróżnienie między myśleniem racjonalistycznem miejskiem a irracjonalistycznem wiejskiem. Uderzony tem przeciwstawieniem inż. Zoll usiłuje wypełnić rzeczony schemat uzasadnieniem własnem.

Autor trzyma się gruntu ekonomicznego, podlegającego obserwacji, zbaczając chwilami w dziedzinę filozofji ekonomji. Refleksje jego są tego rodzaju:1) Interesom rolników sprzyja solidarność gospodarcza, w przemyśle zasadą jest konkurencja. Czy jednak w obu wypadkach nie jest to racjonalizm? — sam siebie zapytuje. 2) Rolnik w stosunku do robotników przybiera barwy irracjonalistyczne patrjarchalności, dbając o ich dobrobyt względny, gdy przemysłowiec jest tutaj neutralny. 3) Ziemianie i chłopi myślą w taki lub inny sposób, ale w mieście także jest wiele inteligencji irracjonalnie myślącej.

Autor stwierdza, że Polak z natury nastawiony jest do świata irracjonalnie, że obecnie wraca do swojej naturalnej postawy i że przychodzi „era ekonomji“, którą musimy ożywić pierwiastkiem irracjonalnym. Tu właśnie kwestja: czy wszystko da się rozwiązać na gruncie ekonomji?

Do rozważań tych i autor i wydawcy (Tow. rozwoju kultury wsi) przywiązują znaczną wagę, skoro redakcja zapowiada, że staną się one podstawą referatu, który będzie posłany na kongres międzynarodowy w sprawie podniesienia życia wiejskiego.

Autor szkicu referatowego pewno spostrzegł, że zasada podziału, której się trzymał, — racjonalność i irracjonalność jest ruchoma i nie daje dobrych rezultatów. Dlaczego?

Bo naprzód, o jakie nam „myślenie“ chodzi? W danym wypadku nie o teorjo - poznawcze. Wieś i miasto to nie zgrupowania filozofów. Każdyby miał pretensję do myślenia racjonalnego i jak umie, zabiega głową. Trzeba więc stawiać rzecz na gruncie tego myślenia, które jest potrzebne d o d z i a ł a n i a, a które jest właściwie nie myśleniem w ścisłem znaczeniu tego słowa, lecz raczej postawą psychiczną, którą człowiek przybiera w stosunku c z y n n y m do swojego świata.

Kwestja więc staje tak: jaki świat chciałby człowiek sobie s t w o r z y ć? Sprawa przenosi się na grunt realizowania, na grunt najszerzej pojętej moralności w stosunku do świata przyrodzonego i tworzonego przez człowieka. Tutaj upatrywanie dróg i wybieranie, tutaj kwestja i d e a ł ó w, kwestja nietylko rozumu, ale i wiary. Tu człowiek pokazuje się w swojej rozpiętości, tu jest jego pełnia, tu go trzeba szukać i mierzyć.

O względności pojęć „racjonalne-irracjonalne“ pisał niedawno w „Myśli Narodowej“ (nr. 5 — 7 z r. b.) głęboki badacz idej socjologicznych K. L. Koniński. Pokazał on, w jakie zawiłości wprowadza takie werbalne rozróżnienie. Irracjonalnem wydaje się to, czego człowiek wyrozumieć nie może. Co innego znów irracjonalny (nielogiczny) sposób myślenia. My tutaj nazywajmy irracjonalnemi rzeczy, do których człowiek ustosunkowuje się duchowo przy pomocy wprowadzenia pierwiastka ideologicznego.

Czy nas nie uderza w stylu duchowym Kochanowskiego, że ten gospodarz widzi w swoim warsztacie rolnym coś więcej od tego, co w dobrach materjalnych upatruje racjonalnie umysł ściśle ekonomiczny, powodowany merkantylnie, czy też z żądzy użycia, egoizmem gospodarczym? Kochanowski widzi w ziemi nie tylko swoją u ż y t e c z n o ś ć; myśl jego doznaje szczególnej słodyczy w uświadomianiu irracjonalnych pozornie w a r t o ś c i, jakie ta ziemia przedstawia. Ceni sobie w tym warsztacie to, że jego „staranie“ może być „pobożne“, że go w cnocie utrzymuje i zbliża do Boga. Warsztat dla niego nie jest tylko zarobkowaniem, gromadzeniem bogactw, ale s p o s o b e m ż y c i a, które musi być pełne, jeżeli ma się być człowiekiem pełnym, Bogu podobnym, to znaczy musi być złożone nietylko z użyteczności, ale przedewszystkiem z wartości. Zestawmy to stanowisko z rolą na wsi jakiegoś spekulanta, rabunkowo gospodarującego z krzywdą ludzi, ziemi i Boga. Kochanowski mu powie:

Nie kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale kto na swem przestał, ten bogaty.

Owszem, Kochanowski myśli kategorjami użyteczności. Nawet gdy zakłada rodzinę, to myśl jego wychodzi z założeń racjonalnie gospodarskich.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I napewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszytek; swego męża ona
Głowy korona.

I zestawmy ten pogląd na żonę, jako podstawę instytucji rodziny, z pospolitym w świecie używaczy racjonalizmem, poszukującym w żonach kochanek i zabawek. To samo, gdy tworzymy państwo. Jedni z Kochanowskim będą je uważali za wartość bezwzględną i radziby ją widzieć wieczną, a drudzy szukać w niem będą użyteczności dla swych korzyści lub swej żądzy władzy. To samo z tworzeniem nauki, sztuki. Przecież z literatury można zrobić użyteczność gwoli sensacji i pornografji.

Wszystko więc zależy od tego, jak kto pojmuje swoich kilkadziesiąt lat życia: czy to ma być użycie przez obrócenie wszystkiego na doraźną użyteczność, czy też ma zostawić po sobie pomnik jakichś trwałych wartości. Zależy od tego, czy człowiek ma stylizowany w swojej postawie twórczej pierwiastek wieczności, jako poczucie nieśmiertelności.

Świat ludzki dzieli się zasadniczo na tych, których przenika „irracjonalna" potrzeba psychiczna wartości, i na ludzi, biorących za cel życia używanie doczesności, co chętnie nazywają jedynie racjonalnem; na tych, którzy potrafią w tem, co tworzą, widzieć swoją drobną rolę ogniwa między pokoleniami, i na tych, o których czasy wieczność nie zahacza.

Jednostka wszakże nie żyje w pustce, ani w mechanicznem odosobnieniu, nie wszystkiem też jest dla niej społeczeństwo, które można uważać za organizację racjonalistyczną użyteczności zbiorowego życia. Utrzymywać można, że co w tej racjonalności układu społecznego jest naddatkiem ponad biologję na wartość życia, — to wszystko składa się na budowę psychiczną narodu. Naród jest tem wobec społeczeństwa, czem wartość wobec użyteczności, czem jest człowiek sam w sobie w tej swojej cząstce irracjonalnej, sięgającej w wieczność, wobec siebie, jako stworzenia, które swój byt kalkuluje.

Życia zbiorowego nie uratuje żadna „era ekonomji", którаby zapoznała organiczny związek, jaki zachodzi między biologiczną racjonalnością a potrzebą wartości wiecznych, pozornie irracjonalnych. Przez naród życie społeczne wkracza w dziedzinę socjologiczną irracjonalną, w dziedzinę faktów, których rozum nie dowiedzie tabliczką mnożenia.

A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Ekonomja starczy za naukę o społeczeństwie. Nauka o wartościach w szerszem znaczeniu jest nauką o cywilizacji narodowej. Naród bowiem — to jego cywilizacja żywa, która zamyka w sobie całość życia w jego pełni: wraz z racjonalną troską o byt materjalny wszystkie jego wartości idealne. Tam prócz rozumu jest serce narodu, którego „nie zleczą żadne złotogłowy".

Zbiorowość najczystsza etnicznie, ale nie będąca w stanie zorganizować się z tytułu swoich wartości wiecznych, nie jest narodem, nie może mieć swego państwa, nie będzie indywidualnością historyczną. Zbiorowość, której nie stać na troskę o przyszłe pokolenia, która nie zna kultu tradycyj, nie dba i nie walczy o rzeczy tak irracjonalne, jak honor, — nie obroni też swoich dóbr materjalnych.

Dlatego też, jeżeli sprawę „myślenia" (miejskiego czy wiejskiego) stawiamy na gruncie psychologji działania z tym aspektem, jaki świat pragniemy tworzyć, to radziłbym dzielić ludzi na dwie kategorje: tych, którzy chcą i mogą brać udział w tworzeniu cywilizacji narodowej, i tych — którzy tej potrzeby wskutek doktryny czy upośledzenia duchowego nie odczuwają. Tego stanu idealnego, żeby w piewszej kategorji znalazło się 100% ogółu, nigdy nie będzie. Ale kiedy Polska upadała w XVII i XVIII wieku, to zapewne bliska była tej cyfry kategorja druga.

Cnotą w znaczeniu, jakie jej daje Kochanowski, wzór Polaka cywilizowanego XVI wieku, jest dbałość o wartości, jakie przedstawia Ojczyzna, owa ojcowizna, której dorobiliśmy się w długie wieki pracy cywilizacyjnej. Ta cnota wiedzie do nieba.

A jeśli komu droga otwarta do nieba—
Tym, co służą Ojczyźnie...

Charakter, na tej cnocie oparty, jest siłą życia narodowego — pierwiastek pozornie irracjonalny.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi.
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiem innem panuje przygoda.

Zgadzam się z wnioskiem p. Zolla, że naszą myśl gospodarczą trzeba ożywić pierwiastkiem irracjonalnym. Ale nie dopowiedział — dlaczego. Otóż dopowiadam: dlatego, żeby związać nasze troski o dobrobyt z interesami życia narodowego. Nie trzeba tej konieczności się wstydzić. Do niczego nas praca nie doprowadzi, jeśli nie zrozumiemy, że gospodarka ekonomiczna wiąże się w szerszym widnokręgu koncentrycznie z gospodarstwem ogólniejszem — cywilizacji narodowej, gdzie trzeba umieć gospodarzyć wartościami. Nauczmy się patrzeć na to swoje gospodarstwo narodowe tak syntetycznie, jak patrzył na dom swój w Czarnolesiu poeta 400 lat temu:

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje,
Inszy niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NAUKA I LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA O KOCHANOWSKIM

WOBEC bogactwa literatury o Janie Kochanowskim, szczególnie bujnie rozwijającej się od r. 1884 t. j. od zjazdu (w 300-lecie śmierci poety), na którym zapoczątkowano zorganizowane badania na tem polu — możnaby przypuszczać, że nie da się już nic nowego powiedzieć o autorze „Trenów". A jednak znalazł się badacz, który mimo dziesiątków większych prac monograficznych oraz setek drobniejszych rozpraw i przyczynków, potrafił nam pokazać nowego i żywego Kochanowskiego. Znalazł się badacz, który twórczość poety odsłonił przed nami w zupełnie nowem oświetleniu i skorygował nasze mniemanie o znaczeniu poety, przez co nietylko pogłębił naszą znajomość Kochanowskiego, lecz wręcz zmienił podstawy naszej wiedzy o nim. Tym badaczem jest profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław Windakiewicz, który od wielu lat poświęcając się studjom nad Kochanowskim i — jak sam wyznaje — żywiąc dlań tradycyjny, prawie rodzinny kult, syntezę swoich studjów, oraz rezultat serdecznego obcowania z żywym tworem czarnoleskiego poety zawarł w świeżo wydanej monografji o „Janie Kochanowskim" (Kraków 1930. Nakład Krak. Spółki Wydawniczej).

Wydawnictwo to ukazało się bardzo „na czasie", jako najpiękniejszy hołd złożony pamięci Kochanowskiego w roku

jego jubileuszu oraz jako najlepsza z dotychczas ogłoszonych w tym zakresie prac, uprzystępniająca czytelnikom zrozumienie twórczości i psychologji tego najnowocześniejszego z pośród poetów staropolskich. W kilkunastu zwartych, barwnie a zajmująco napisanych rozdziałach przedstawia prof. Windakiewicz najpierw życie poety, wobec bardzo ułamkowych wiadomości biograficznych opierając się głównie na pismach Kochanowskiego (wszak ten jak liryk o sobie przeważnie w swych utworach mówi). Następnie przechodzi prof. Windakiewicz do ujęcia linji wewnętrznego rozwoju poety, starając się o odmalowanie atmosfery środowisk, w jakich tenże kolejno się znajdował, oraz o określenie wpływów (ale tylko w ogólnem, kulturalnem znaczeniu), jakim podlegał, wkońcu przechodząc do sprecyzowania programu artystycznego Kochanowskiego, do którego urzeczywistnienia dążył poeta wytrwale i z całą świadomością. Uwydatniając w wizerunku duchowym Kochanowskiego występujące kolejno rysy, pokazuje nam prof. Windakiewicz żywe oblicze człowieka i twórcy, jego „oblicze zmienne, pełne ruchu i zajmujących przeobrażeń, dopóki pobyt w Czarnolesie nie ustalił jego posągowych rysów". I to jest zasadnicza wartość tej książki. Prof. Windakiewicz, mimo swej olbrzymiej erudycji, mimo znajomości wszelkiego rodzaju źródeł i całej bogatej literatury przedmiotu, umie się jednak ustrzec filologicznej drobnostkowości oraz przesadnej wpływologji, dając nam pracę nawskróś nowoczesną, a tak przystępnie i zajmująco przy swej naukowości napisaną, że może ją czytać każdy z prawdziwem zainteresowaniem, niczem jakiś barwny romans biograficzny.

Wśród wielu ciekawych i liczne nowe spostrzeżenia przynoszących rozdziałów, na specjalną uwagę zasługuje rozdział p. t. „Poezja życia rodzinnego". Kochanowski stworzył lirykę życia i szczęścia rodzinnego, pieśni na ten temat są najpiękniejszym kwiatem twórczości okresu czarnoleskiego, wśród nich zaś najwspanialszym poematem, utworem jedynym w swoim rodzaju i nieporównanym są „Treny". Tutaj prof. Windakiewicz daje zupełnie nowe ujęcie znaczenia „Trenów", nie jako pamiątki pogrzebowej, lecz jako pomnika polskiego życia rodzinnego oraz miłości rodzicielskiej, która wobec ówczesnej surowości pojeć oraz wątpliwości, czy ludzkie boleści po ludzku publicznie wypowiedzieć wolno, inaczej się wyrazić nie umiała. Są również „Treny" arcydziełem portretu dziecinnego. „To drobiazgowe badanie dziecka, na które dopiero nowsza nauka i literatura zwróciła uwagę, to rozwinięcie najczulszej atmosfery rodzinnej, to jest, co w tym utworze najbardziej się nam podoba, wydaje się zupełnie modernistycznem i omal nie intuicyjnem przeczuciem dzisiejszego człowieka... Jako poeta wieku dziecinnego, jako psycholog dziecka, jest Kochanowski pierwszym artystą w literaturze europejskiej i, podobnie jak Rubens, portretowi żony i dziecka zawdzięcza jeden z głównych tytułów do chwały". W dalszym ciągu, korygując utrzymujące się dotąd mniemanie, że „Treny" są utworem klasycznym, prof. Windakiewicz pokazuje nam je jako publiczne wyznanie wiary poety, zrywającego z poglądami humanistyczemi a głoszącego publiczne przyznanie się do religijności i chrystjanizmu. „Dusza maluczka" Urszulki spełniła wobec Kochanowskiego posłannictwo apostołki wiary, była podstawą, na której oparło się odbudowanie pojeć religijnych poety. Na tem to podłożu powstało dzieło pierwszorzędnej piękności lirycznej. „Jest to tak żywiołowy wybuch żalu i w tak oryginalny sposób wyrażony, że w swoim rodzaju stanowi unikat w dziejach literatury powszechnej".

Równie ciekawe są dalsze rozdziały o poezji patrjotycznej oraz „Psałterzu", uwypuklające nam charakterystykę Kochanowskiego przez podkreślenie jego poczucia obywatelskiego oraz głębokiej, wrodzonej religijności.

W świetle swej pracy przedstawia się nam prof. St. Windakiewicz, jako badacz o nawskróś nowoczesnej umysłowości i metodzie pracy, posiadający przytem nie drobnostkowo-filologiczny, ale szeroki, estetyczny i psychologiczny sposób ujęcia kwestji. Jeżeli do tego dodamy potoczysty, lekki i swobodny, a barwny i zajmujący sposób wykładu — to zrozumiemy, dlaczego pracę prof. Windakiewicz można uznać za najpiękniejszy hołd złożony Kochanowskiemu w roku jubileuszowym oraz za najpożyteczniejsze, dostępne dla wszystkich wydawnictwo propagandowe. Z 200-stronicowej bowiem monografji prof. Windakiewicza można się dowiedzieć więcej o Kochanowskim, niż z dziesiątek innych uczono-nudnych rozpraw.

RAJMUND BERGEL

RUCH WYDAWNICZY

Na uczczenie czterechsetnej rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego wydał Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie dwa dzieła Kochanowskiego. Tragedja „Odprawa Posłów Greckich" wydrukowana ona została literami gotyckiemi, podobnie jak pierwowzór dzieła. „Treny" wydano w opracowaniu Henryka Gaertnera i Stanisława Łempickiego, profesorów uniwersytetu im. Jana Kazimierza, z ilustracjami Zofji Stryjeńskiej. Prof. Gaertner opracował tekst utworu i dał rozprawę „O języku Trenów". Prof. Łempiski rozprawę „O Trenach Kochanowskiego". W rozprawie tej zaznacza autor na wstępie, że „Treny", ten najtkliwszy pomnik miłości i bólu rodzicielskiego, stworzony czystym, nie myślącym o sobie liryzmem, wbrew obowiązującym kanonom poetyki, nie odrazu zyskał uznanie. W każdem jednak z następnych stuleci aż po romantyzm wzmagała się popularność, a i naśladownictwo „Trenów". Mickiewicz powiedział o artyzmie ich formy: „Taki śmiały i taki wspaniały w stylu Psalmów, schodzi tu Kochanowski czasem do najprostszego niby, najbardziej prozaicznego tonu, a umie go zrobić najprawdziwiej i najwyżej poetycznym". Po dziś też krytyka poświęca studja analizie utworu i upowszechnia jego wieczyste wartości. Nowe wydanie „Trenów", z oryginalnemi ilustracjami Stryjeńskiej, jest godnym w jubileuszowej uroczystości wyrazem czci i pamięci.

*

Nakładem księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu ukazało się drugie wydanie przekładów poezyj łacińskich Jana Kochanowskiego, p. t. „Pod lipą czarnoleską", dokonanych po mistrzowsku przez Juljana Ejsmonda. O książce tej, będącej pięknym hołdem, złożonym Księciu Poetów polskich w czterechsetlecie jego urodzin, „Myśl Narodowa" zamieści w najbliższej przyszłości obszerne sprawozdanie.

NA MARGINESIE

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono
I zwierzchności nad stadem Bożem zwierzono.

Miejcież to przed oczyma zawdy swojemi,
Żeście miejsce zasiedli Boże na ziemi,
Z którego macie nie tak swe własne rzeczy
Jako wszystek ludzki mieć rodzaj na pieczy...

(Jan Kochanowski „Pieśni wtóre", XIV).

*

Niechaj źli we złocie chodzą
I nad lepszymi przewodzą.
Jednak złe sumienie mają,
Sądu Twego się lękają.

(Jan Kochanowski „Pieśni kilka", V).

Przypominamy naszym czytelnikom o odnowieniu prenumeraty na drugie półrocze — 17 zł., lub kwartał III b. r. — 9 zł.

Nieopłacone egzemplarze za kwartał II zostaną z dniem 1 lipca wstrzymane.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.